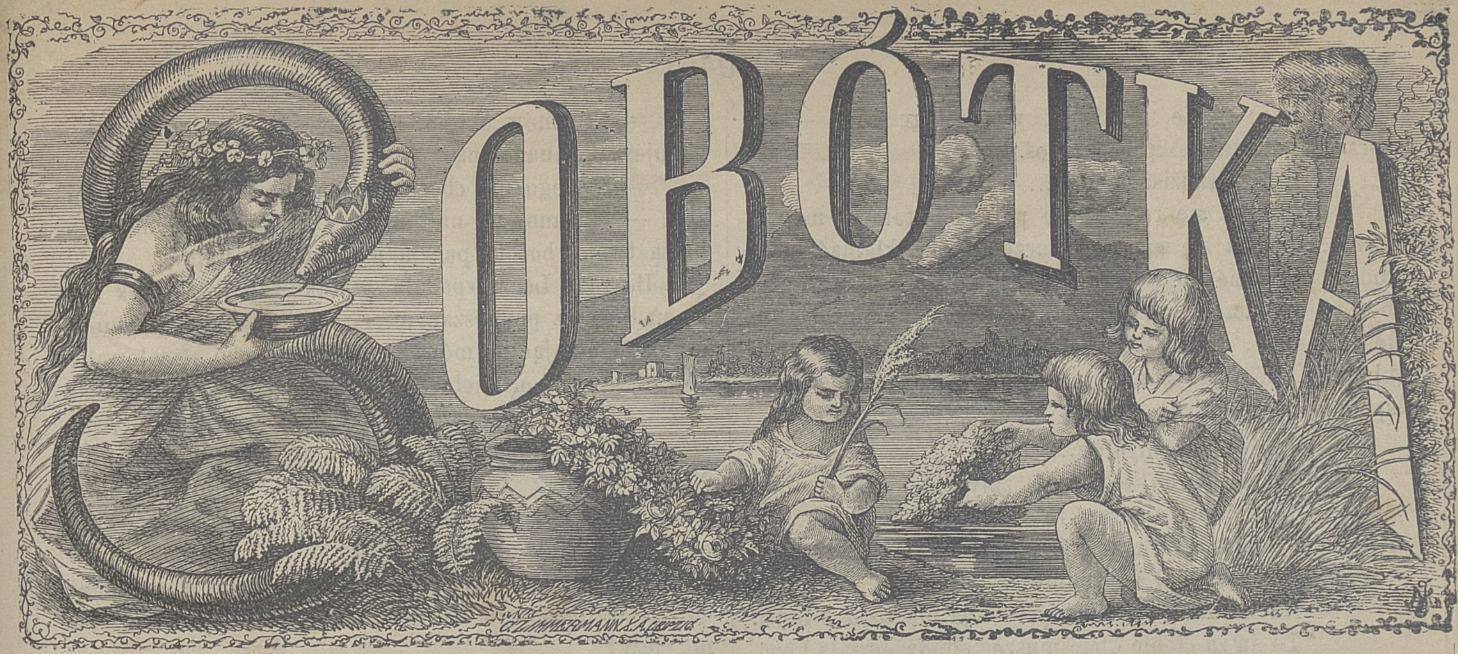


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 24. Poznań, dnia 12 Czerwca 1869. Rok. I.

W MĘTNÉJ WODZIE.

Obrazki współczesne

przez **J. I. Kraszewskiego.**

(Dalszy ciąg.)

— Słuchaj siostro, odezwał się trzeciego dnia, wstając od stolika... tak mi z tobą dobrze, a tak mi ciebie żal, że tak ubogo i nie wygodnie się mieścisz... pozwól, żebym ci jedną prośbą się naprzykrzył...

- Ja także miałabym prośbę do brata — odparła nie śmiało Lena...

— Mówże naprzód, ja potém, zawołał Sławek, słucham...

— Nie, nie... ja potém — przerwała Lena, co mówić chciałeś?

— Rzecz niezmiernie naturalną, podchwycił Młyński, a jednak gdy teraz mam ją powiedzieć, wydaje mi się śmiałą. Oto myślałem sobie, jesteśmy bratem i siostrą... wszystko między nami wspólne... Za cóż ja mam mieć do zbytku... a ty... cierpieć niedostatek...

Lena zaczerwieniła się i zakryła oczy.

— Dość! zawołała — dość! w świecie aniołów... na innym, nie na naszym, wszystko by to było naturalném i sprawiedliwém... ale tu! tu! ja inaczéj obronić się od potwarzy nie mogę, tylko ubóstwém mojém... Wiesz ty, co nie poczciwi mówią na mnie i na ciebie...

— Wiem, rzekł Sławek — czy cię to boli?

— Mnie! rozśmiała się boleśnie Lena — mnie? o mój bracie! ja nie to już przeżyłam! ale mnie idzie o ciebie, o ciebie... ja chcę, byś w oczach świata był tym moim ideałem wielkim i niepokalanym...

— To trudno — zawołał Młyński, potwarz już mnie obluzgała... Nie sądź tylko, ażebym na nią zabolał nawet...

— O i ja wiem! z uczuciem mówiła Lena — ty zniesiesz wszystko, boś czysty, ja zniosę, bom niewinna, przecież, przecież bracie... stać tak pod pręgierzem ciągle.

— A! prawda! dla ciebie.

— Nie! tobie, tobie! łamiąc ręce, coraz gwałtowniéj mówiła Lena... Ja jestem niczém... tyś nadzieja przyszłości, ty przedstawiasz młodzież, szlachtę, cały stan i pokolenie, tobie nie wolno lekceważyć opinii...

Ja! takich Len... Helen, Magdalen na świecie tysiące... Jesteśmy, jak na łące kwiaty, które zdepce przelatający rumak,... a nowe odpuszczą... Lena jutro będzie tak dobrze zapomnianą istotą, iż nikt nie wspomni, że żyła... Ty, ty masz posłannictwo... obowiąski... a siłę stracić musisz, gdy choć nie słusznie szacunek ci odejmą...

— Do czegóż to zmierza? spytał Sławek chmurno...

Lena widząc go podrażnionym, przystąpiła łagodna, pokorna, błagająca...

— Mój panie! mój bracie... siądź i posłuchaj cierpliwie. Nie myśl, bym się drożyła z sobą i ofiarą? czego? cnoty, w którą nikt nie wierzy!! Idzie mi o ciebie! o ciebie...

Wiem, że krzyczą na Sławka za mnie. Sąż ci ludzie w stanie pojąć, że może być miłość czysta, anielska, braterska! a tak święta, że się już nawet nie lęka upadku!! Otóż ja niechcę, aby na Sławka krzyczano.

— I dla tego — przerwał ironicznie Młyński, porzucę go, gdy on niema brata, ani siostry, ani przyjaciela, ani żywéj duszy... która by go pocieszyć, podzielić troski... z nim... podtrzymać go chciała?? nieprawdaż?

— Nie — nie... mówiła, wzdychając Lena — nie porzucę go... ale... poradzę coś.

— Cóż poradzisz biedna...

— Trzeba się rozstać na pozór — tak — mówiła Lena.. trzeba się widywać inaczéj, trzeba kłamać, kiedy ludzie prawdzie nie wierzą... O! nie uwierzą nigdy, ażebyś ty był uczciwym, a ja kochając cię, szanowała miłość naszą... braterską... dodała po cichu... Bracie! kłammy, Bóg, ja wiem, kłamstwo przebaczy!! niech ono spadnie na mnie!

— Jakże? cóż myślisz...

— Ja, niedawno aktorka! zmyśliłam sobie komedyą... Grałam już nie raz role młodych chłopaków... Będę do ciebie przychodzić przebrana... za mężczyznę...

Sławek rozśmiał się smutnie.

— Na co nam te komedye — ja niedbam o ludzi.

— To ja za ciebie dbać muszę, odpowiedziała Lena. Jedno z dwojga, albo ja ucieknę, tak, że mnie nie znajdziesz, a skosztowawszy życia z tobą, umrę i uschnę z tęsknoty... albo musisz mnie posłuchać...

Sławek uczuł dopiero w téj chwili, jak w przeciągu krótkiego czasu przywiązał się już do niéj... Groźba ucieczki już przeraziła go...

— Ucieczką byś mnie też zabiła! zawołał — ja téj twojéj siostrzanéj potrzebuję duszy... ani myśl o tém!

Lena pocałowała go w rękę i łza jéj spadła na nią.

— Więc pozwól jak ja chcę!

— Ale to niepodobieństwo...

— Nikt mnie nie pozna! zaręczam! przysięgam...

— Nas szpiegują — przerwał Sławek, wolę nie taić się i stawić im czoło, aniżeli udawać, kryć się i przez to jeśli nie do błędu, przyznawać się do pozoru winy...

— A jednak inaczéj, wierz mi, być nie może... nie może...

— A! świat ten! świat przeklęty! wołał Sławek, chodząc po pokoju.

— Na ten raz nie przeklinajmy go, ani mu się dziwujmy, ma on może słuszność. Nikt z nich nie był w sercu mojém, znają mnie z pogłosek, mogąż uwierzyć, bym uboga nie korzystała z ciebie, bym ambitna nie chciała usidlić, bym wolała być ofiarą niż nikczemnicą. Ja się nie dziwię, że oni nie wierzą, któż zna człowieka? Ja im przebaczam... ale z tego właśnie powodu, mam do ciebie prośbę i zaklęcie, jesteśmy siostrą i bratem, pozwól mi być z tego dumną... i nigdy, nigdy nie pomyśl nawet... byś mi w czemkolwiek dał... poczuć litość nad ubóstwem mojém. Ja chcę być ubogą aż do nędzy, aby ciebie być godną!!

Mówiła i oczy jéj pałały... Sławek słochał rozczulony i przejęty...

— Jedna sukienka od ciebie jużby mnie jak szata Nessusa paliła! Nie! nigdy!

— To okropne! rzekł Sławek, więc ty się będziesz męczyć a ja rozrzucać... ty cierpieć, ja używać i patrzeć na niedostatek.

— Z którym ja będę szczęśliwa! zawołała Lena... Inaczéj — mówię ci — ucieknę... bo to już nie będzie braterstwo, ale upokorzenie...

— Nie mów o tém, dość! dość! zawołał Sławek.. panujesz już nademną!

— Ja tego nie chcę! przerwała dziewczyna ogniście — ja panować nie myślę, nie mogę, bom służebnica twoja, boś ty panem i słońcem mojém...

Ile razy Lena wpadała w taki zapał, Sławek czuł się nad wyraz pomięszanym... i w téj chwili zarumienił się, nie dając jéj mówić, chwycił za rękę, pocałował... ale bojąc się sam siebie, brał za kapelusz aby odejść.

— Czekaj — odezwała się Lena wstrzymując, postanówmy coś. — Najmiesz sobie mieszkanie... prawda? Nie przyjdziesz już do mnie... ale znajdziesz mnie u siebie... gdy zatęsknisz... tam, gdzieś w kątku... chłopiątko biedne... Utnę włosy!

Lena miała warkocz przecudny, Sławek zakrzyknął, ona się uśmiechnęła. — Tak mi dokucza!! rzekła, tak mi cięży!

— Ja nie pozwolę...

— No! to nie! nie... do zobaczenia!! Przyjdź tylko raz... dać mi wiedzieć, gdzie mam szukać ciebie.

— A teraz... idź!

Młyński poczuł rączek dwoje na swych ramionach, zdawały się go wypychać a przyciągały i trzymały, do jednéj z nich przyłożył usta i cały pomięszany... odszedł...

Salon hrabinéj Drejssowéj wyglądał bardzo poważnie, był przyciemniony nieco, a wszystko co go zdobiło, nosiło na sobie cechę jakiéjś nieubłaganéj surowości sztywnéj i zimnéj. — Na ścianach było parę czarnych brzydkich obrazów z historyi biblijnéj i parę sztychów Ary-Schöffera prześlicznych w czarnych ramach... na stole nieco broszur francuskich. Monde, Univers, parę dzieł L. Veuillot'a i różne cyrkularze do rozdawania... Godłami świętobliwemi ubrane były szafy rzeźbione, zajmujące część ściany i konsolki po rogach... Chłód przejmował, wchodząc do niego...

O szaréj godzinie przy wielkim krągłym, mahoniowym stole, na kanapie siedziała sama hrabina... a przy niéj czcigodny Sopoćko... pochylony był nieco, gdyż prowadził rozmowę, która nie powinna była być słyszaną przez kilka osób... znajdujących się w salonie. Twarz jego wyrażała jakieś uczucie dziwne... niby rozgorączkowaną ciekawość.

— Ale tak jest, mówiła hrabina, wiem z najlepszego źródła, po tym artykule w gazecie, który nie był zły...

— Nie był zły — potwierdził Sopoćko.

— Dała mu hrabina odprawę formalną i pokazała drzwi...

— Pokazała drzwi!! wtórował stary, no proszę...

— Dała mu do wyboru, albo aktorkę porzucić..

Sopoćko spuścił głowę na wspomnienie aktorki.

— Albo nie wracać... Dziewczyna, która się w nim słyszę kocha, zrobiła matce scenę, nic nie pomogło... Młyński się obraził i poszedł.

— Ale któż go zastąpi? spytał Sopoćko cicho, boć przecie wiadomo, że na niego rachowała w projektach...

— Nie bój się! ładna kobieta, a zalotna i nie skrupulatka, bez religii, albo raczéj z taką, jaką one wszy-

stkie mają... która im do niczego nie przeszkadza... znalazła zastępcę łatwo... Już tam jest Samiel...

— Ale Samiel, począł Sopoćko głośno i doszeptał tak cicho, że go już słyszeć nie było można...

— No, tak! ja to wiem — odparła matrona, a cóż to ma do tego. Znasz teraźniejszą młodzież... wszystko to zgniłe, zepsute...

— A! tak! zepsute! bez wiary!!

— Nic pani nie słyszała o tym ich „dzienniku?.. spytał po chwili stary...

— Stoją słyszę przy swojém... a już to wiem, że będą pisać przeciwko władzy doczesnéj i św. Pietrzu... o! to wiem...

— Ale czyby nie było sposobu Sławka tego opamiętać, nastraszyć, nawrócić, zawsze to zgorszenie... i na ludzi słabych zasad podziała... rzekł Sopoćko.

A! no! byłby sposób... byłby...

— Jakiż? spytał stary, przysuwając się.

— Wszak ten kanonik, który tu mieszka u Bernardynów... to jego pierwszy nauczyciel, gdyby on chciał... gdyby przemówił...

— Kanonik! co! rzekł Sopoćko, to stary dziwak. Jest pobożny, uczciwy, niema co mówić, ale prawdziwego ducha kapłańskiego niema... Coś w głowie pokręconego.

— Ja to wiem i J. Ekscellencya zna go z téj strony, dla tego mu odebrano probostwo i oddano wikaremu, który jest z naszéj ręki... Jednak gdyby kanonikowi powiedzieć, że się chłopiec rozpuszcza... że w teatrze ma stósunki, że dziennik będzie antykatolicki i liberalny... może by go zreflektował. Waćpan znasz kanonika...

— Znam... tak — ale unikam... Jest to, potrzeba pani wiedzieć, nieprzyjaciel Jezuitów! Ksiądz a nieprzyjaciel Jezuitów, dość powiedzieć, to go charakteryzuje.

— Gdyby z drugiéj strony... zawołała hrabina... ale to niepodobieństwo...

— Co takiego? spytał Sopoćko...

— Kazałam się pilno dowiadywać o tę aktorkę, z którą on żyje... mówiła hrabina... ją tu znają. Była to sierota, dziewczyna poczciwa, w kilku domach służyła za guwernantkę... charakter eksaltowany... poetyczny... nawet dosyć po swojemu religijna... Gdyby w niéj obudzić można chęć wstąpienia do klasztoru?... nie jest to niemożliwe, ale trzebaby bardzo zręcznéj osoby, bardzo zrazu wyrozumiałéj... żeby jéj nie spłoszyła...

Sopoćko zaciął usta, słysząc to, wahał się długo, hrabina spojrzała na niego.

— Wszak to ta jakaś panna Prater? spytał.

— Tak! ją tu młodzież nazywa Leną... po cichu szepnęła hrabina, która wiedziała wszystko...

— Przykro mi to wyznać — rzekł Sopoćko... ale to.. ale to...

— Co? zapytała pani Drejssowa. — Cóż?

— To jest moja rodzona siostrzenica, tylko panię zaklinam na wszystko, o największy sekret.

Hrabina za rękę go chwyciła, tak ją to wyznanie zdziwiło...

— Co mówisz? nikt o tém nie wie...

— Nikt w świecie... ale to nieszczęśliwa tajemnica familijna... Jéj matka była moją siostrą rodzoną.

Westchnął.

— Okoliczności... wypadki, słowem, że poszła za mąż jak najnieszczęśliwiéj i familia... i — ja — musieliśmy z nią przerwać. Z tego powodu zmarła w nędzy... a ja już córką się nie opiekowałem z powodu... iż... tego... gdyż... znalazły się osoby dobroczynne... Ja bym był temu zadaniu nie podołał... a lękałem się, ażeby dziewczyna i mnie nie była ciężarem i nie zaniedbała się.. znalazłszy niby opiekuna... Do tego, widzi pani hrabina — sam jestem bardzo ubogi... to jest niemajętny... I dla tego nie mówiłem wcale o pokrewieństwie, o którém ona niewie nawet...

Hrabina bardzo surowo spojrzała na Sopoćkę, ale stary westchnął, ręce złożył, zrobił minę pobożną i nią pokrył resztę...

— Uczyniłem to, dodał, jedynie dla jéj dobra, dla nadania hartu charakterowi... Późniéj, gdy się nie powiodło jéj wychowanie... te awantury różne... już niechciałem się nawet przyznawać, osobliwie do... aktorki.

— Ale zmiłujże się, gorąco zawołała hrabina, masz prawo i obowiązek wyrwania jéj z tych szpon szatańskich, z teatru.. a nawet na jakiś czas zamknąć w klasztorze.. na rekolekcye... właśnie taka eksaltowana, młoda osoba... pod wrażeniem błogiém... klasztoru, miejsca świętego, osób bogobojnych, mogłaby nabrać powołania do tego stanu. Cóż ona ma lepszego do czynienia na świecie! To miejsce dla niéj.

Sopoćko szeptał — Zapewne! zapewne! a po chwili rzekł.

— Wiadomo pani, że i do klasztoru... to są instytuta dziś zubożałe, złupione przez chciwość... potrzeba by kosztów... funduszów.. a ja... prawdziwie.

Sopoćko był ponury, znać sobie wyrzucał, że się przed hrabiną wygadał, niespodziewając się, aby taki obrót wzięły rzeczy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Skowronek.

Po niebieskim sklepie
Skrzydełkami trzepie,
Zapowiada dzionek
Ptaszyna skowronek;
Zapowiada dzionek,
Jak kościelny dzwonek —
I wiosenną porę
Zimie na przekorę.

Mrozom, wichrom, słocie
O wiosennéj psocie,
Pioseneczkę śpiewa
Ponad łany, drzewa;
Pioseneczkę śpiewa,
W świecie się ogrzewa,
Szlakiem chmur i burzy
W niebiosa się nurzy.

Utonął w błękicie,
Lecz piosnkę słyszycie,
Jak z rosą opada,
Przyszłość zapowiada.
Jak z rosą opada
Co się w niebie składa:
Że dzień będzie, wiosna
I przyszłość radosna.

* *

Nad Wisłą.

(Z ryciną.)

Woda jest brylantem w stroju przyrody. Bez wody najpiękniejsza okolica traci na uroku, a jak żywioł ten jest warunkiem żywotnym wszelkiego życia w przyrodzie, tak niezbędnym jest i dla piękna natury. Wspaniałość morza, jeziór, powab stawów ocienionych, strumyków zakopujących się w łąki lub skały, jakże nęci oko; szczególnie zaś uroczy wpływ wywiera na człowieka widok potężnéj rzeki, bo prócz piękna fizycznego przedstawia



Nad Wisłą. Obraz Stryjowskiego.

się w nim wyraz siły, nie powstrzymanego dążenia do celu, niepowrotności...

Wszystkie rzeki są piękne. Tajemnicza w praktykach swych i zmianach Wisła, poważna a ogromna, zdolna jest budzić najróżniejsze wrażenia moralne, ale i powaby jéj przyrodzenia nie ustępują wielu innym rzekom.

Brak jéj malowniczych skał, zamków przypominających grozę dawnych czasów, ale za to jakie wspaniale rozległe są jéj widoki. Czy to z Bielan krakowskich, z wyżyn Chełmna, czy z zamkowéj góry w Grudziądzu, dolina Wisły wszędzie przedstawia obrazy ogromnych przestrzeni. Miasta na górach, miasta w dolinie, nizina cała, jakby wieś jedna zasiana domostwami, które rozdzielają wązkie paski ról, łąk, sadów, dróg i rowów obsadzanych wierzbiną. Obraz ten imponuje samą masą.

Rzekom zachodu np. Renowi dużo dodaje wdzięku ożywiona i malownicza żegluga. Na Wiśle parowiec jest rzadkiém zjawiskiem, a szkuty wiślane, tu berlinki, są po prostu brzydkie; jedne galary przypominają kształtem statki używane na zachodzie i mają jakiś zakrój malowniczy. Poetyczną stronę żeglugi wiślanéj stanowi spław drzewa i galarów ze zbożem. Z téj strony Wisła dla malarza przedstawia niewyczerpany skarb motywów, które obrabiać może w nieskończoność. To też jest malarz specyalista pod tym względem, Stryjowski, którego drugi obraz nadwiślański już czytelnikom podajemy. — Wieczór się zbliżył, zmrok zapada, oryle płynący z galarami zawinęli do brzegu; nie znają kotwic, ale na śrykach przytwierdzili je. Na obrazie widać w tyle płaskie daszki tych pierwotnych naw, których postęp jednakże wyrugować nie potrafi. Ognisko i szałas są licencye poetyczne, które malarz tu popełnić musiał dla dopełnienia i jedności obrazu, chociaż oryle nigdy na przystanku nie gotują na lądzie, lecz na ognisku ulepionym z gliny w którymkolwiek rogu galaru. Szałasów też nie budują na lądzie; jak poecie tak i malarzowi wolno w interesie sztuki mijać się z szczegółami prawdy. Grupa środkowa za to pełna nienaruszonéj wdzięcznéj prawdy.

Ch.

Urywki z wspomnień uniwersyteckich z r. 1846.

Przez F. D.

Szanowna pani! Nie wymagaj odemnie porządku w opowiadaniu tych wspomnień przeszłości; — piszę je wedle tego, jak pamięć wrażenia zatrzymała, — może najlepsze w przykrych kolejach życia zatarły się, snuję więc to, co świeże we mnie, lub co boleścią wpiło się w duszę i dla tego z pamięci niknąć nie może.... W połowie lipca udałem się do Warszawy, aby wyjednać sobie paszport, a następnie wyruszyć do Moskwy. W Warszawie poraz pierwszy w życiu zetknąłem się z urzędową Moskwą. Robiono mi tysiączne trudności w udzieleniu paszportu. W obec nich straciłem już nadzieję wyjazdu. Pomiędzy innemi zażądano odemnie dowodu, iż nie miałem udziału w rewolucyi z 1830 roku, choć złożyłem metrykę urodzenia, w któréj stało jak najwyraźniéj, iż urodziłem się w lipcu 1830 roku. Nic nie pomogło, musiałem odnieść się do naczelnika Żandarmów tego powiatu, w którym mieszkałem i wreszcie pożądany dowód nadszedł. Doznałem niesłychanéj radości, kiedy wreszcie paszport w swych rękach poczułem. Tego samego dnia zapisałem się na kuryerkę i tegoż samego dnia opuściłem Warszawę.... W drodze nie doznałem żadnego wypadku; nic nie zgubiłem i żaden mnie Moskal nie okradł. Po dwutygodniowéj podróży stanąłem wreszcie w Moskwie. Za tydzień byłem już studentem i rozpocząłem to życie pracy, marzeń, uniesień... O cudny to czas, cudowne to chwile tego życia uniwersyteckiego! Swoboda, o jakiéj pojęcia nie miałem, olśniła mnie. W kraju pod srogim uciskiem Paszkiewicza i znęcania się jego zgrai policyjnéj, zaledwie półgłosem i dobrze obejrzawszy się, można było mówić o naszéj przeszłości, o naszem ówczesném położeniu. Tu, jedno i drugie, rozbierało się, z największą jasnością. Ale — ta też chwila, w któréj wstąpiłem do uniwersytetu, była jego najpiękniejszą chwilą. Na czele uniwersytetu i całego okręgu naukowego moskiewskiego stał wówczas Grzegórz hrabia Strogonow, dumny arystokrata moskiewski, wychowany za granicą, powiększéj części w Anglii, jak na owe czasy bardzo liberalny, a studentów szczerze kochający. Dbał on o świetność uniwersytetu, którego praw i autonomii gorliwie bronił. Jak tylko objął rządy uniwersytetu, zapragnął zaraz pokrzepić jego siły przez wprowadzenie młodych profesorów i dla tego zdolniejszą młodzież bez względu na narodowość wysyłał za granicę pod warunkiem, aby tam wykształciwszy się, obejmowała następnie katedry uniwersyteckie. Do liczby tych, pomiędzy innemi należał i nasz rodak Warszawianin Piechowski, który dotąd katedrę literatury starożytnéj zajmuje. Największą znakomitością w uniwersytecie był wówczas profesor historyi powszechnéj Tymoteusz Granowski, Małorus. Wywierał on wpływ ogromny, który rozciągał się po za aule uniwersyteckie. Wszystko, co było wówczas zacniejszego w społeczeństwie moskiewskiém; wszystko, co pracowało, myślało, pisało, — wszystko to ocierało się o Granowskiego. Był on naczelnikiem i duszą, tak zwanego stronnictwa zachodniego, które w owym czasie reprezentowało postęp w Rosyi. Rozumny, szlachetny, — z sercem i duszą gorącą, z najliberalniejszemi pojęciami — a przytém przystępny — dla wszystkich względny — był naszém bożyszczem. Już sama powierzchowność zniewalała ku niemu. Wysoki i kształtny, jak Antinous, — z długiemi, czarnemi, kędzierzawemi włosami, nosem orlim, oczami czarnemi, lśniącemi, głęboko opromienionemi, z twarzą pogodną a boleściwą, od razu chwytał za serce. Lgnęła też do niego cała młódź uniwersytecka, a każde jego słowo gorączkowo porywała i trawiła. Wykład jego był świetny. Osoby historyczne traktował nieco zapobieżnie — cieniował je tylko; — idea — głównie go zajmowała — ogólny też charakter każdéj epoki malował po mistrzowsku. Odczyty jego zawsze miały moc słuchaczy; na parę godzin przed lekcyą już zajmowano miejsca. Szkoda tylko, że głos miał cichy i jakby przytłumiony. Odczyty jego wpływały niezmiernie na młodzież, bo gorąco on apostołował za sprawiedliwością, moralnością, swobodą, a apostołował nie tylko słowem, ale i życiem. Nie poprzestawał wszakże na katedrze, — rozumiał on dobrze, że pod duszącym caratem nie wszystko, co człowiek ma na duszy, co mu tam cięży kamieniem, wypowiedzieć można. Dla tego też otworzył dom swój dla młodzieży. Dziś jeszcze pamiętam, z jaką radością co niedzieli biegłem na Draczewskij perewłok, na pogawędki do ukochanego profesora. Jakież one były serdeczne, ciepłe, a przytém jakże pouczające! Mówiliśmy często i o naszéj sprawie. Był on serdecznym naszym przyjacielem; szczerze ubolewał nad naszém położeniem, zachęcał do pracy, wytrwałości i przepowiadał zwycięstwo, bo idea nie ginie i nie umiera, mawiał nam. Jest to jedyny Moskal, w którego niezłamaną przyjaźń dla nas wierzyłem; a reszty nie przypuszczam jéj nawet. Wszyscy oni niemal, dopóki nie mają władzy w swym ręku, są liberalnymi; gdy się jéj dorwą, stają się od razu katami, lub najnędzniejszemi narzędziami caryzmu. A choć wszyscy przyjaciele Granowskiego, Redkin, Kawelin i inni, w ostatnich czasach odznaczyli się nienawiścią, a więcéj jeszcze niesprawiedliwością przeciwko nam, pomimo to pewny jestem, że gdyby Granowski nie złamał się — nie zamilkłby, ale owszem swobodnie, jak zwykle, podniósłby głos w imię sponiewieranéj sprawiedliwości i godności ludzkiéj. Ale nie dożył téj chwili i dożyć jéj nie mógł. Dla takich ludzi, jak Granowski, nie ma miejsca w dzisiejszéj Rosyi. Dusza jego nader estetyczna, idealna, na widok tego grubego świata, w którym żyć zmuszoną

była, cierpi ła niewypowiedzianie, a całe to cierpienie odbiło się w jego twarzy. Nie widząc i nie znajdując żadnego wyjścia — musiał upaść. Trunek posłużył za całą pociechę i uciechę — zapił się biedny męczennik. W ten lub podobny sposób skończyli i inni ludzie. Dość przypomnieć sobie Puszkina, Poteżajewa, Rylejewa, Lermontowa Bieleńskiego, Gogola i tylu innych. Umarł przed kilku laty — a do saméj śmierci czarował umysły młodzieży i jeżeli w którym z Moskali z uniwersytetu Moswky jest coś zacniejszego, to winien on bezwarunkowo to coś Granowskiemu i jego przyjaciołom. Do tych liczyli się: Kawelin, profesor historyi prawa, oraz Redkin, profesor prawa narodów; nadto Kudriawiew profesor historyi, Sokolski profesor chorób dusznych i inni. Do tegoż samego stronnictwa zachodniego należeli: Katków i Leontiew, dziś redaktorzy Moskowskich Wiedomosti i zarazem z przyjaciół najzaciętsi nasi nieprzyjaciele. W owych czasach były to nic nie znaczące figury — czasy te, były ich pierwocinami profesorstwa. Znaczyli siłą stronnictwa — ale nie własnemi swemi osobami. Katków wykładał na wydziale filozoficznym logikę, wykład jego był suchy, — niejasny; Leontiew — czytał greczczyznę i dość był lubionym od studentów. O charakterze ich trudno coś powiedzieć, bo powtarzam, były to figury niewybitne. Powierzchowność ich również nieuderzająca. Katkow, więcéj jak średniego wzrostu, blondyn, twarzy pociągłéj, oczu bez wyrazu, a koloru takiego, jaki jest zwyczajnie cechą Moskali — to jest dna morskiego. W ogóle cały wyraz twarzy — jak w Rosyi noszą — bezduszny; niby to twarz nic nie mówi, trąć ją wszakże — a natychmiast dzikość i zwierzęcość wypiętnują się na niéj. Leontiew rudy, garbaty, twarzy tak białéj, że wszystkie błonki najwyraźniejszym błękitem na niéj wydatnieją— oczów niebieskich, całości dowcipnéj i rozumnéj. Obydwaj mogą mieć dziś po lat pięćdziesiąt. Katków mówi dobrze po polsku. Pamiętam, iż w roku 1846 miał mowę po polsku nad grobem profesora Jarosława Linowskiego, naszego rodaka, a który zginął śmiercią tragiczną. Linowski, Ukrainiec, wykładał na uniwersytecie gospodarstwo wiejskie; a dziwna rzecz, co to talent może. Odczyty jego były tak świetne, iż na nie zjeżdżali się tłumnie, nawet kobiety. Młody, namiętny z niesłychanie łatwém i obrazowém słowem, porywał słuchaczy. Na początku roku 1846 powrócił z podróży naukowéj, jaką odbywał po kraju Kałmyków i Kirgizów. Pierwszy jego odczyt poświęconym był sprawozdaniu z téj podróży. Charakter ludu, fizyognomia kraju, zwyczaje i obyczaje, stan rólnictwa i chowu bydła, wszystko to, jak w kalejdoskopie, przesuwało się w cudnych, wymownych obrazach przed zachwyconymi słuchaczami, zebranymi w jednéj z najobszerniejszych sal uniwersyteckich. Jakaż tam była zjadliwa a prawie niedająca się pochwycić krytyka rządów moskiewskich. Nie przepomniał i o braciach naszych, wleczonych na Sybir. Powiedział on pomiędzy innemi: „Jedziesz daléj i nagle słyszysz dzwonki i odgłos pieśni, któréj dźwięki porywają twe serce i przypominają ci coś twego rodzonego, krewnego; coś, co kolebkę i młodość twą otacz ło i co do grobu towarzyszyć ci będzie; — pojąc się mimowolnie dźwiękami téj pieśni, sądzisz, że to kupiec bogaty, który w nadziei przyszłych zysków taką pieśń wydobywa z siebie — ale kibitka się zbliża, widzisz na niéj żandarmów, a pomiędzy nimi skuty w łańcuchy młodzieniec z dumą i pogodą na czole... Teraz pojmujesz wszystko... to brat Polak... jedzie na Sybir, aby dać świadectwo męką swą, że to, co do grobu złożyli — śpi, ale nie umarło i czeka tylko chwili, aby z snu do pięknego i swobodnego życia powstało.“ Słowa te były aktem wielkiéj odwagi i wielkiéj szlachetności, zwłaszcza, że car Mikołaj był wówczas w Moskwie. Studenci i publiczność grzmotem oklasków okryli świetnego profesora i sprowadzili go aż do doróżki — Na drugi dzień z wielkim smutkiem i wielką boleścią dowiedzieliśmy się o jego śmierci.... Tegoż samego dnia poszedł do klubu, gdzie przyjaciele ego urządzili dla niego wieczór. Powrócił późno... Służący — własny jego poddany z Ukrainy, czekał na niego — ale czekał z nożem kuchennym. Zaledwie posłyszał chód jego — wybiegł i na schodach zadał mu dwa pchnięcia razem w samo serce. Na drugi dzień znaleziono go martwym, krwią zbryzganym, na schodach. Służącego wyszukano w piwnicy, gdzie w piasku ukrył się.... Z jakiego powodu dopuścił się tego przestępstwa — niewiadomo; to pewna tylko, iż Linowski obchodził się z nim dobrze. Oddano go natychmiast pod sąd wojenny — osądzono na parę tysięcy pałek i jeszcze w czasie bytności cara zabito pałkami. Poraz pierwszy byłem na podobnéj egzekucyi - i nigdy jéj nie zapomnę. Wyprowadzili go na obszerny plac, obnażyli do połowy, ręce przywiązali do karabinów, które ciągnęli dwaj sołdaci — poczém ustawione w dwa szeregi żołdactwo pałkowało nieszczęśliwego. Z pleców krew się obficie broczyła — a muzyka grała tak smutnie, tak rzewnie, że dzikie zwierzęta litośćby ogarnęła, tylko do ludzi w cyfry przemienionych przemówić nie mogła. Widziałem jak z zaciętością razy wymierzali. Zgrozą przejęty — cały oburzony, s rdecznym bólem przejęty — odszedł m... Linowski mu wyprawiono świetny pogrzeb. Na grobie — przemawiali Stewyrew, profesor literatury rosyjskiéj, po moskiewsku — Katków, po polsku O Polsce obydwaj ani wspomnieli, choć zmarły duszą i ciałem do niéj należał. Po pogrzebie na mogiłkach wedle tamtejszego zwyczaju była stypa; trunków i jedzenia była moc okropna. Kilku studentów Moskali spiło się tremente, a Lis, wszelkiego rodzaju mięsiwem obładował kieszenie na kilka tygodni.

Franciszek D.

O zabobonach.

Stojąc na wysokości cywilizacyi naszych czasów, chętnie zstępujemy myślą w minione wieki, leżące po za nami i poniżéj naszéj dzisiejszéj oświaty, a badając je i zastanawiając się nad błędami i zboczeniami dawniejszych czasów, dochodzimy do tém lepszego rozpoznania ważności i doniosłości prawdziwéj oświaty. Brak oświaty mścił się i mści dotąd srodze na ludzkości. Błędy z niego wynikające stanowią bardzo ciemną kartę dziejów naszych. W kilku poniższych słowach powiemy nieco o zabobonach, o wierze w gusla, czary i czarownice, które dziś, dzięki oświacie ogólnéj a najpierw i przedewszystkiém postępowi w naukach przyrodzonych, zniknęły już prawie zupełnie. Rozpatrując się w ludzkich zabobonach przekonywamy się, jak potężnie każda nauka wpływa na życie, jak silne i zbawienne są przedewszystkiem skutki każdego postępu w nauce przyrody i do jakich okropności dojść może ludzkość, jeżeli prawa natury masom ludu są niezrozumiane niepojęte. Wszystko w przyrodzeniu i życiu ludzkiém ma słuszne przyczyny; a jeżeli czego dostrzedz nie możemy, — naszéj to słabości wina.

Zabobon każdy połączony jest ściśle ze stanem dzieciństwa wszystkich ludów — a nawet w dojrzałych już ludach łączy się z wiekiem dzieciństwa każdego pojedyńczego człowieka. Im niższy jest stopień oświaty, na którym naród albo pojedyńczy człowiek stoi, tém więcéj wkorzenia się zabobon, tém okropniejsze pociąga za sobą skutki.

Byli ludzie, którzy czy to przez głębokie śledzenie sił natury, czy też przez jakieś tajemne praktyki, doszli

do nadzwyczajnéj i nadnaturalnéj jakiéjś władzy, téjże swéj mocy w jakiémśkolwiek bądź kierunku nadużywali. Takich ludzi nazywano czarownikami, a ich sztuki czarami. Ludy nieoświecone, wystawiające sobie siły przyrodzone, jako istoty żyjące, zwykle niewidzialne, czasami przecież w postaci ludzkiéj się ukazujące, sądziły, że i czarodzieje mieli nad niemi wszelką władzę, że przez zaklęcie mogli ich używać do wszystkiego.

Wiara taka nie jest znamieniem przeszłości wyłącznie naszéj tylko, — przeciwnie spotykamy ją u wszystkich ludów. Ostatecznéj przyczyny trzeba szukać w bardzo dalekiéj chrześcijańskiéj przeszłości. W religii wszystkich ludów barbarzyńskich lub już nieco ucywilizowanych napotykamy dwa zasadnicze pojęcia, t. j. pierwiastek złego i dobrego. Chrześcijanizm przyjęty późniéj potępił wprawdzie te pojęcia, ale opierając się na Starym i Nowym Testamencie przyjął naukę o piekle i jego mieszkańcach, do czego upoważnienie dawał nie tylko ów kusiciel Ewy, nie tylko owo obcowanie aniołów na ziemi, o którém mówi Mojżesz, ale i wypędzanie djabła z opętanych przez kościół praktykowane. Takim sposobem wiara w złe i jego objawianie się w postaci djabła z pogaństwa przeniosła się do chrześcijaństwa. Jak rozliczni bożkowie pogańscy poddawać się musieli jedynemu Bogu chrześcijańskiemu — tak też wałęsające się samopas w starym świecie demony czyli złe duchy — kupić się musiały około swego arcyksięcia szatana, który nie mógł wprawdzie występować w nauce chrześcijańskiéj jako absolutny pierwiastek złego, lecz jako duch światłości upadły i z nieba strącony za karę.

Apostołowie wiary chrześcijańskiéj napotykali u ludów pogańskich głęboko wkorzenioną wiarę i pewne, że tak powiem, familijne przywiązanie do starych bogów; aby je zwalczyć, przedstawiali nowonawróconym, że ich bożkowie są to złe duchy, którym się wydrzeć i które zakląć potrzeba. Że takie przekonanie i u nas w Polsce podzielano, dowodzi tego nasze przysłowie: „S ł u ż B o g u, a d j a b ł a n i e g n i e w a j,“ którego początek Sarnicki w ten sposób tłomaczy. „Kiedy król Władysław Jagiełło roku 1402 podczas świąt Wielkanocnych był w Poznaniu na nabożeństwie Zmartwychwstania Pańskiego w kościele Bożego Ciała i ujrzał obraz Wniebowstąpienia, ciągniony dawnym obyczajem w górę za pomocą sznurów, miał zapytać: „„czyjby był obraz?““ a gdy mu odpowiedziano „„Chrystusa,““ rzekł do otaczających: „„d a j c i e ż m u ś w i e c ę.““ Wkrótce potém spuszczano z góry obraz djabła, odmalowanego w postaci smoka i król znowu zapytał: „„a to czyj wizerunek,““ a gdy mu odpowiedziano, że to jest djabeł z nieba strącony: „„z a p a l c i e ż, rzekł król, d w i e ś w i e c e w o s k o w e.““ Zapytany o przyczynę tych względów dla djabła miał właśnie wyrzec owe słowa, które późniéj w mowie naszéj w przysłowie weszły: S ł u ż B o g u, a d j a b ł a n i e g n i e w a j.“

W świętych gajach ludów słowiańskich i germańskich głównie dziewice poświęcały się jako kapłanki służbie bogów i uważane były za wróżki i woli bogów wyrocznie; — ztąd też w początkach chrześcijańskich czasów ustalone było w ludzie przeświadczenie, że głównie i szczególnie płeć żeńska uzdolnioną jest do utrzymywania związków z duchami, do wróżenia przyszłości i robienia różnych dziwów. Nasza i obce literatury bardzo są obfite w piękne legendy i podania o tych czarodziejkach Ale z ubiegiem czasu zaciemniało się powoli urocze o nich podanie. Poetyczne złudzenie znikało — a na dnie podań pozostał przesąd i zabobon. Czarodziejki i rusałki straciły, że tak powiemy, kredyt, przestano je poetyzować i przezwano ciotami. Cioty te wyrzekły się Boga, zawierały związki małżeńskie z czartem, który je w zamian obdarzał siłą cudotwórczą, i wyprawiał im w nocy z ostatniego kwietnia na pierwszego maja co roku wielką, świetną i wspaniałą ucztę na Łyséj Górze. Logika była nieubłagana i prowadziła coraz daléj a daléj w tym okropnym obłędzie. Odpadnięcie od Boga wiodło do wszystkiego złego, stało się przyczyną, że owe czarownice samém wejrzeniem, albo zamówieniem, albo innemi czartowskiemi sztukami umiały wywołać niepłodność, choroby u ludzi i bydła, tworzyć i nasyłać plagi, sprowadzać szarańczę, grady i burze, wylewy rzek, posuchy i mrozy. Twierdzono i wierzono w tym względzie wszystko, chociaż nie było na to nie tylko śladu, dowodu, ale nawet najmniejszego cienia prawdopodobieństwa. Być może, że tu i ówdzie jakaś stara i doświadczona kobieta odznaczyła się szczęśliwém wyleczeniem chorego, że tu i ówdzie pokazywały się nieznane, dziwne choroby, których ograniczona wiedza ówczesnych lekarzy pojąć nie mogła, że mogły powstać zjawiska natury, których nie umiano sobie wytłómaczyć. Kobiety znające się na truciznach, korzystające ze szkodą bliźnich z téj umiejętności, albo przygotowywujące i sprzedające jakieś napoje miłosne, skutków bardzo wątpliwych i dwuznacznych, były już dawno karane jako bezbożne czarownice, ale powoli zaczął im lud wszelkie wypadki i klęski ogólniejsze przypisywać i mścić się na nich za to w sposób straszliwy.

Najstarszy kościelny dokument o tym dla nas tak niepojętym i śmiesznym, ale niestety równocześnie tak okropnym zabobonie, wydany został na synodzie w Ankyrze r. 314. Dokument ten zaleca ojcom kościoła zwracać baczną uwagę na bezbożne kobiety, które przez złe duchy w obłęd wprowadzone wyobrażają sobie, że w nocy na zwierzętach jeżdżą i z szatanem wielkie przestrzenie przebiegają. Cały ten dokument robi autorom wielki zaszczyt — występuje bowiem przeciw fałszywym pojęciom, przeciw zabobonowi, ale nie przeciw jego niewinnym ofiarom. Z podobnym kierunkiem światłym i sprawiedliwym spotykamy się w innym późniejszego czasu dokumencie kapituły Paderborn. Czytamy tam między innemi: kto pokuszony przez djabła sądzi, że mężczyzna jaki lub kobieta jest czarownikiem, albo czarownicą i pożera ludzi i dla tego ich zabija lub pali, albo ich mięso do zjedzenia podaje, albo sam zjada, ten winien jest śmierci. Prawo to znamionuje stan okropnéj dzikości, ale zwraca się przeciw przesądowi, a nie każe mordować niewinnych. Ale niestety nie długo trzymano się tego kierunku. (Dokończenie nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Pierwotny człowiek.

W statnim czasie objeżdżał profesor Karól Vogt główniejsze miasta niemieckie i wykładał o pochodzeniu człowieka i pierwotném jego wyposażeniu. Tłumy ciekawéj publiczności zbierały się na jego wykłady, ile że profesor niemiecki dowodził, iż człowiek pochodzi od małpy. Wstąpiwszy na podwyższoną katedrę, pokazywał p. Vogt na licznych na okół siebie pozawieszanych rysunkach podobieństwo szkieletów szympansona, orangutana do szkieletu człowieka odszukanego gdzieś we wnętrznościach ziemi. Patrzałem sam bardzo często na owe obrazy, które — kredą nakreślone istotnie były do siebie nie ledwie tak podobne, jak dwie krople wody, przysłuchiwałem się wywodom i dowodom uczonego Niemca z nadzwyczajną ciekawością i nieraz wybrawszy się z znajomymi do ogrodu zoologicznego za Thiergartenem w Berlinie, przypatrywałem się dość długo rozmaitym gatunkom małp, zwracając uwagę moich znajomych na to, czyby się czasem niedopatrzyli jakiego w nich kuzynostwa. Ale nadaremno — a uczony profesor także mnie nie zdołał przekonać ani też wzbudzić jakiegobądź przywiązania do tak dalekiéj familii.

Wszakże z wszystkich twierdzeń p. Vogta, najwięcéj mnie

zajmowało to, że pierwotny człowiek miał stósunkowo czaszkę daleko mniejszą od ludzi żyjących w następnych wiekach. Twierdził on śmiało, z dowodami w ręku, że z postępem czasu czaszka ludzka się zwiększa, że im większa czaszka, tém więcéj mózgu a im więcéj mózgu, tém więcéj rozumu. Obliczał objętość mózgu rozmaitych uczonych, mędrców i wielkich polityków tego świata i wykazywał, że każdy z nich miał więcéj słoju w głowie od pospolitych rębaczy i ludzi powszednich. Twierdzenie to podchlebiało mi niezmiernie, bo jeżeli nie mam się za człowieka nadzwyczajnego rozumu, to w każdym razie nie mogę się skarzyć na Opatrzność, ażeby méj małéj figury nie miała dość wielką ustroć głową. Ciekawém nie mniéj było i to, że, jak dowodził p. Vogt, postęp cywilizacyi ma zależeć podobno od powiększania się czaszki ludzkiéj. Nie ulega wątpliwości, że przy dzisiejszém rozpowszechnieniu oświaty i rozwoju stósunków społecznych zakres widzenia niejednego pospolitego człowieka dni naszych jest daleko rozleglejszy od zakresu widzenia jego protoplasty, który żył w owych czasach, kiedy to myszy na Gople zjadły księcia Popiela, ale czyżby to pochodzić miało istotnie z powodu rozszerzania się czaszki naszéj? Pan Vogt starał się tego dowieść licznemi przykładami. Między innemi opowiadał, że przed kilkunastu laty, gdy w Paryżu kopano fundamenta do nowych zabudowań, natrafiano na liczne smętarze sięgające bardzo dawnych czasów i rozmaitych wieków, które przy pomocy zapisków kronikarskich można było oznaczyć. Czaszki w starszych znachodzone smętarzach były zwykle mniejszéj objętości od czaszek późniejszych. Stąd wniosek, że czaszki powiększają się, że słój mózgowy przybiera, że organa umysłowe doskonalsze, silniejsze, że człowiek więcéj uzdolniony do rozwijania postępu. Któżby śmiał przeczyć uczonemu profesorowi niemieckiemu?

Tymczasem przed niedawnym czasem wykopano w Francyi kilka szkieletów i czaszek ludzkich, z bardzo odległych czasów, które uczone wywody p. Vogta podają w wątpliwość. Czaszki te bowiem są bardzo wielkiéj objętości, téj samej, co i nasze a sprzęty obok nich znalezione naprowadzają na domysł, że właściciele tychże czaszek, musieli mieć niepospolity rozum, w każdym razie większy od dzisiejszego pawiana lub orangutana. W dolinie Dordogne w bliskości Eyzies znaleziono 7 szkieletów ludzkich, złożonych obok kości słonia. Francuski geolog Lartet obrachował chował objętość owych czaszek i zadał kłam twierdzeniu p. Vogta. W okolicy Chartres odkryto również kilka czaszek i szkieletów, a uczony Francuz Desnoyers wykazał, iż człowiek, do którego to skamieniałe resztki należały, był spółczesnym obywatelem mamuta i innych przedpotopowych istót. I te czaszki niczém nie różnią się od téj, którą za dni naszych nie jeden nosi od parady. Przy tych resztkach ludzkich znaleziono równocześnie rozmaite sprzęty, świadczące o niepospolitym zmyśle ludzi ówczesnych i o dość wielkiéj sztuce wyrabiania z kamienia i kruszcu. Wszystko to zatém, co prawi i pisze p. Vogt o mikrokefalach, zdaje się być wątpliwéj prawdy i ostatecznie zgodzić się musim na to, że jest wiele rzeczy pod słońcem, których nie znają mędrcy tego świata.

W.

Teatr Krakowski w Poznaniu.

Towarzystwo Teatru krakowskiego od dni kilkunastu bawiące w mieście naszém rozpoczęło swe przedstawienia francuską komedyą pod tytułem: Solidarność, czyli Wybór posła. Główniejsze przedstawienia dane na scenie tutejszéj były: Wąsy i Peruka, komedya Korzeniowskiego, która jak najlepsze zrobiła wrażenie na publiczności — niestety — wcale nie licznie zebranéj. W przeszłą sobotę, dano dramat pani Birch-Pfeiffer. osnuty na powieści pani Georges Sand, pod tytułem Poczwarka.

W roli tytułowéj występowała pani Nowakowska, która w tym roku poraz pierwszy z Towarzystwem Krakowskiém do stolicy Wielkopolski zawitała. Poprzedziła ją opinia jak najpochlebniejsza o jéj talencie artystycznym, a opinią tę stwierdziło jak najświetniéj jéj pierwsze wystąpienie w roli Fanchon, młodéj siedemnastoletniéj dziewczyny.

Jednem z najpewniejszych znamion świadczących o prawdziwym i ukształconym talencie artysty scenicznego, jest umiejętność przedstawienia w zewnętrznéj formie czy to głosu, czy ruchu tego, co artysta w sercu czuje, co się w jego myśli przesuwa, co czuć i myśleć powinien, przejmując się duchem swéj roli. Artysta, którego każde słowo płynie z głębi serca, którego każde poruszenie, każdy gest, stoi w harmonii z jego wewnętrzném usposobieniem, porywa nas grą swoją, przenosi nas z krzeseł teatralnych w świat zupełnie inny, z takim artystą czujemy razem, i razem myslimy, bolejemy, śmiejemy się i płaczemy. Taki talent zdaje się pani Nowakowska posiadać w wysokim stopniu.

Gra jéj była dosłownie zachwycającą. Charakter siedmnastoletniéj dziewczyny rozwijał się przed nami zwolna, stopniowo, coraz jaśniejszy, zrozumialszy, coraz pełniejszy, coraz więcéj uroczy i zajmujący. Każda scena pojedyncza gry pani Nowakowskiéj budziła coraz żywsze zajęcie, ciekawość tego charakteru nieznanego, tajemniczego, zagadkowego, w tak różnobarwném świetle, pod tak różnorodnemi przedstawiającego się wrażeniami a przecież tak jednolitego i tak prostego. Trzeba talentu pani Nowakowskiéj, ażeby rozbudzić umysł widza, wystawić go na pokusę tysiąca domysłów przedzierających się do głębi serca a duszy artystki, rozwięzujących naprzód zagadkowe zawikłania i równocześnie tak go opanować, tak nim owładnąć, że tylko niewolnikiem biegnie za każdém jéj słowem, każdém jéj poruszeniem, za każdą sceną, którą w oczach jego tworzy.

W akcie pierwszym grała pani Nowakowska z tak porywającą lekkością, z taką swobodą i naturalnością, tak plastycznie i szczerze rysowała nam charakter siedmnastoletniéj wnuczki staréj czarownicy, iż zdawało się, że ta młoda dziewczyna, wytykana palcem przez swoje rówieśnice, wyśmiewana i wyszydzana nieledwie przez wszystkich, zawdzięcza swoją płochą pustotę, która całe niemal jéj szczęście stanowiła, niejasnéj swiadomości swego smutnego położenia. To téż potężne wrażenie zrobiła gra pani Nowakowskiéj w scenie, gdy obstąpiona przez tłum ludu uważającego ją za czarownicę i nienawidzącego ją dla tego, uczuła obrazę swoją do żywego i wyższością swéj duszy umiała odepchnąć od siebie nienawiść „ludu głupiego i zabobonnego" i równocześnie zająć sobą młodego Landry. Równie klasyczna była jéj gra w scenie, kiedy sam na sam z Landrym opowiadała mu smutne koleje swego życia. Publiczność opuściła teatr z jak największém zadowoleniem, wynosząc z niego przekonanie, że pani Nowakowska jest na scenie pierwszorzędnym talentem.

Niedzielne przedstawienie Balladyny Słowackiego wypadło równie bardzo świetnie. Gra p. Bendy w roli Grabca i pani Aszpergerowéj w roli matki Balladyny zyskały słusznie huczne oklaski przepełnionego teatru.

Niemniéj świetnie powiodło się przedstawienie tragedyi Słowackiego: Mazepy. Tragiczny los, jaki dotknął starego wojewodę, przedstawił doskonale znany z swego talentu p. Rapacki. Równie znakomitą była gra pani Hoffman.

Szarada.

Prolog słowa z Epilogiem,
O! to dar wielki dla ludzi;
Chociaż często bywa wrogiem,
I największy zapał chłodzi.
Odrzuć z przodu trzy litery,
Choćby tylko dla chimery,
A ujrzysz miasta i wioski
Kraju, co nam miły;
Całość słodzi życia troski,
I pokrzepia nasze siły.

(Rozwiązanie szarady w nr. 23: **Rapacki**.)

PUSZKA DO LISTOW.

Pani A. B. w okol. Wrze. Dziękujemy za pamięć. — P. M. Serdeczne podzięki za tak życzliwe chęci. — Młodéj Wielkopolance: „Opowiadanie słowika" piękne i rozczulające, zamieścimy je, gdy słowiki same przestaną śpiewać. Dla nieszczęść wielkich szczere mamy współczucie. — Panu K. W. Sz. w Piw. Dziękujemy. — Panu N. N. z pod Czerniejewa. Bierzemy szczery udział w Tęsknocie Pańskiéj za Jego „złotowłosą Epcią drogą."

Od Redakcyi.

Przy nadchodzącym kwartale trzecim, upraszamy Szanownych abonentów SOBÓTKI, o wczesne odnowienie przedpłaty na kwartał przeszły i życzliwe popieranie naszego pisma.

Redaktor odpowiedzialny: Dr. Roman Szymański w Poznaniu. Lipowa ulica nr. 2. — Nakładem Księgarni M. Leitgebra w Poznaniu. Czcionkami L. Merzbacha w Poznaniu.